

Michał Jaskólski\*

## Czas – doktryny – zmiana

„Czas. Zajmuje więcej miejsca w wielkim słowniku Webstera niż rzeczowniki tak ogólne, jak »rzecz« lub »bóg«... Znacznie więcej miejsca niż »przestrzeń«, jego archetypiczny odpowiednik. Mimo dogłębnego przestudiowania 2006 stron egzemplarza wielkiego słownika, trudno mi było znaleźć słowo mające więcej opisów lub sprzecznych bądź mylących znaczeń niż ten nieszkodliwy członek rodziny wyrazów czteroliterowych”. To słowa wybitnego astronoma i antropologa Anthonego Aveni, zawarte w jego fascynującej książce *Imperia czasu*. Wystarczy zresztą sięgnąć do indeksu może najbardziej znanej w Polsce książki Stephena Hawkinga *Krótką historia czasu*, by natrafić na czas: **absolutny - rzeczywisty - urojony - względny**, nie wspominając już o **czasoprzestrzeni - strzałce czasu** i jej odmianach: **termodynamicznej, psychologicznej czy kosmologicznej**. Z innych publikacji dowiemy się jeszcze o czasie: **liniowym, sekwencyjnym, cyklicznym, punktowym etc. etc.** Ostatnio Z. Bauman przedstawił interesującą z punktu widzenia socjologii, ale i historii idei teorię **czasu pointylistycznego**. Można zatem rzec, że problem ten daleki jest od wygaśnięcia, zwłaszcza w sferze konceptualnej.

Wobec tych konstatacji astronoma i antropologa oraz fizyka i kosmologa, także innych przedstawicieli różnych gałęzi nauk ścisłych i przyrodniczych staje nieco bezradny historyk doktryn politycznych, by w dodatku stwierdzić, że w obrębie jego własnej dziedziny, przedmiot badań obfituje w różne koncepcje czasu stanowiące immanentny składnik idei polityczno-prawnych, od doktryn powstałych w starożytności na Bliskim Wschodzie do dzisiaj. Wystarczy tu przywołać Arystotelesa, św. Augustyna, G.B. Vico czy Herdera, by stwierdzić, że w ich dziełach tkwi nie tylko próba opisania istoty czasu, lecz że ustaliły one pewne wektory myślenia o nim w przyszłości, limitując potem i dla innych określone skutki społeczne, polityczne i prawne. Może pomocną staje się tu rada wybitnego znawcy problematyki porównawczej czasu G.J. Whitrowa, który pisze: „Nasza koncepcja historii oparta jest na stworzonej przez nas koncepcji czasu, sposób zaś, w jaki pojmujemy czas, jest konsekwencją naszej histo-

---

\* Prof. dr hab. Michał Jaskólski, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie



rii". Korzystając z tej rady postaram się przedstawić moje widzenie tego problemu, choć są to tylko pytania i hipotezy stawiane przy może błędnym założeniu, że istnieje jakaś wspólna wizja historii doktryn, a przynajmniej że każdy swoją wersję tej historii nosi w sobie. Zaprezentowany więc tu esej jest wyrazem nie tyle pewności w zapatrywaniach autora, co wątpliwości zrodzonych na tle tytułowego problemu i jego konsekwencji. Dlatego więcej w nim pytań i hipotez niż odpowiedzi i udowodnionych racji. Problemy te obracają się bowiem w sferze bardzo mglistych i ulotnych relacji pomiędzy czasem w jego różnych postaciach, doktrynami politycznymi i zagadnieniem zachodzących w nich zmian. Czynnikiem sprawczym i zarazem katalizatorem tych relacji jest zapewne właśnie czynnik czasu, którego jednak nie sposób ogarnąć z racji jego natury i gdzie pozostaje możliwość jedynie wrywkowej egzemplifikacji jego rzeczywistego wpływu. Reszta sięga już w głąb grząskiego terytorium rodzenia się doktryn, dalszych ich interpretacji i reinterpretacji, wpływów, ocen pozornie obiektywnych i całkowicie subiektywnych, niejasnych oddziaływań i inspiracji, wreszcie ewidentnych zafałszowań i instrumentalnego ich traktowania.

Z racji nader obszernego zakresu tematyki w stosunku do objętości eseju, eliminuję z góry problematykę porównawczą czasu, ograniczając się do kręgu cywilizacji umownie nazwanej europejską, stworzonej niegdyś w basenie Morza Śródziemnego, mając jednocześnie świadomość odmienności pojmowania tejże istoty w Chinach, Indiach czy Ameryce prekolumbijskiej, i pamiętając, że istniały jeszcze do niedawna (wyspy Triobrianda i badania Malinowskiego), a także i dziś, enklawy cywilizacyjne (plemię Hopi w stanie Arizona), dla których nawet linearna koncepcja czasu w swej najprostszej formie jest niezrozumiała i zbędna. Zostaje ona zastąpiona w życiu i języku albo formą horyzontalną czasu (teraźniejszość nie jest drogą do przyszłości, a przyszłość nie ma wartości – brak pojęcia czasów oraz pojęcia postępu), albo pewnymi stanami („obiektywny”, obejmujący teraźniejszość i przeszłość w sensie namacalnym i materialnym – „subiektywny” o charakterze umysłowo-duchowym obejmujący teraźniejszość i przyszłość).

Częściowo eliminuję też z moich rozważań te koncepcje czasu, których właściwym polem jest fizyka, astronomia, matematyka czy inne dziedziny nauk ścisłych i empirycznych. Nie wynika to z ich lekceważenia czy braku wiary w ich aplikację w ramach nauk historycznych. Wprost przeciwnie, uważam, że rola ich jest rosnąca, zaś wpływ na oblicze przyszłych doktryn polityczno-prawnych wręcz zasadniczy. To raczej brak moich kompetencji wpływa na ostrożność w traktowaniu tego zagadnienia, by nie popełnić nadużyć lub nie popaść w pułapkę słynnej historii tzw. modnych bzdur w stylu postmodernistycznym, tak trafnie opisanych w pracy A. Sokala i J. Bricmont. Tu jednak następuje już pierwsze z mojej strony zastrzeżenie, bowiem część tych koncepcji stworzonych i przypisywanych naukom ścisłym ma jednak istotny związek z pierwszym obszarem moich zainteresowań, a więc **empiryczną stroną badania natury czasu, a przyszłym rozwojem idei polityczno-prawnych.**

Punktem wyjścia pozostaje zatem prosta linearna koncepcja czasu, gdzie istnieje mniej lub bardziej uświadomione poczucie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, właściwe człowiekowi, któremu zegar biologiczny odmierza czas własny i indywidualny. Dotyczy to historyka, dla którego oczywiście w jego życiu zawodowym przeszłość stanowi warsztat pracy, teraźniejszość pewien punkt odniesienia, przyszłość zaś – w zależności od jego światopoglądu lub zapatrywań historiozoficznych – obiekt działania praw historii, pole skutków lekcji, jakich udziela „nauczycielka życia”, czy wreszcie snucie profetycznych wizji. Strzałka czasu biegnąca od momentu, jaki stawia za swój punkt wyjścia dla badań w aspekcie synchronii i diachronii, jest jednocześnie punktem początku czasu, zaś cezura końcowa, jaką zakreśla, jest kresem badanego odcinka strzałki. Służy to wyłącznie zawodowemu i instrumentalnemu operowaniu materią czasu. Intuicyjnie wie on bowiem, że czas zarówno biologiczny, jak i zegarowy biegnie obiektywnie poza nim samym i jego badaniami.

Linearna koncepcja czasu charakteryzuje się również w tym wypadku zaległą łatwego i zrozumiałego przekazu dla odbiorcy, który nie zawsze jest świadom, że chronologiczne podziały czy daty są wyłącznie tworem sztucznym, wynikiem konwencji i narzędziem, za pomocą którego, zaglądając do kalendarza lub zerkając na zegarek, staramy się użytecznie ogarnąć to, co nieuchwytnie przebiega obok nas. To samo odnosi się i do materii dydaktycznej naszego przedmiotu, gdzie nawet w podręcznikach czy syntezach schemat czasu linearnego pozostaje warunkiem dla określenia nazwy przedmiotu jako „historii” i przynajmniej względnej przyswajalności go przez słuchaczy, zwłaszcza tych, których znajomość przeszłości funkcjonuje na poziomie „dawno kiedyś”.

Linearyzacja czasu jest zresztą dominująca w życiu społecznym, poczynając od głębokiej starożytności aż do dziś. Wielu znawców problematyki uważa zresztą, że jest to proces pogłębiający się i ulegający przyspieszeniu, sięgając do początków wieku XX, co niektórzy wiążą z gwałtownym skokiem naukowo-technicznym, procesami globalizacji, rozwojem społeczeństwa informatycznego, postępującą unifikacją kultury i stylu życia, wreszcie z narzuceniem tego, co określało się niegdyś właśnie kulturą europejską, a co uległo zasadniczym przemianom, stanowiąc dziś pewien model ogólnoświatowy postrzegania czasu i jego następstw. Nie sposób ogarnąć całości tej materii, dlatego skupiam się jedynie na dwóch jej aspektach, a mianowicie:

- dla większości ludzi czas w różnych epokach odgrywał zasadniczo inną rolę, a konieczność porządkowania czasu miała charakter ewolucyjny, ściśle uzależniony od okoliczności religijnych, politycznych i ekonomicznych; całość zaś oddziaływania społecznego miała zróżnicowany i zindywidualizowany charakter;
- istnieje niezbyt pewna, ale zauważalna korelacja pomiędzy postępem wiedzy, nauki i techniki w zakresie podziału czasu i narzędzi do jego pomiaru a ideami rodzącymi się w ślad za okresami przełomów naukowo-technicznych; proces ten w moim przekonaniu ma charakter gwałtownie narastający i przechodzący w zupełnie nowe jakości w sferze praktyki życia społecznego i świadomości ludzkiej; porównywalny może być z przełomem umysłowo-poznawczym wieków XVII i XVIII; w ślad za



tym wymusza on zmiany w zakresie powstawania nowych idei społecznych, politycznych i prawnych; idei być może o zupełnie nowym obliczu i sposobie funkcjonowania w społeczeństwie.

\* \* \*

Pierwszy obszar moich zainteresowań wynika z przekonania, że rozwój refleksji nad czasem, drzemający w ludziach, w połączeniu z koniecznością życiowego i praktycznego jego porządkowania jest nieodłącznym składnikiem egzystencji ludzkiej z czasem związanej i przez czas ograniczanej. Arystoteles, korelujący problem czasu z problemem zmiany i ruchu, czy św. Augustyn, stawiający najważniejsze pytania w aspekcie psychologicznego odczuwania czasu (słynny rozdział 11 *Wyznań*), a potem cały legion myślicieli zmagających się z tym zagadnieniem, wytyczyli drogę refleksji teoretycznej. Równoległe do tego potrzeba porządkowania, dzielenia i mierzenia czasu była tylko odwrotną stroną tego samego problemu i tych samych pytań, jakie stawiali sobie ludzie. Bowiem przywołani tu myśliciele żyli przecież w określonym porządku czasowym, porządku sztucznym, wytworzonym przez innych w danym okresie historycznym. Kalendarze ich były różne, lecz problem dokładnie ten sam.

Tu w pełni subiektywnie muszę przyznać, że postawione przez św. Augustyna pytania uważam na swój sposób za uniwersalne w sferze psychiki człowieka i w pełni aktualne do dzisiaj. Sądzę, że dotknął on swą intuicją badawczą istotnych dla każdego człowieka problemów, dlatego w dalszej części mojego wystąpienia nie unikam identyfikowania się z owym rozdziałem *Wyznań*, choć z pewnością nie akceptuję opartej na tych rozważaniach historiozofii zawartej w *De civitate Dei*.

W znacznej mierze podzielam pogląd, że pierwotnym dla większości cywilizacji impulsem obliczania i dzielenia czasu była religia. Czas *sacrum* oddzielała i limitowała *profanum*, prowadząc stopniowo w przypadku Europy do uregulowania dzisiejszego pojęcia roku i jego wewnętrznych podziałów. Nie należy zapominać, że kalendarz juliański (46 r. p.n.e.; opiekę nad nim sprawował formalnie *pontifex maximus*), skorygowany ze względów politycznych przez Oktawiana Augusta, w sposób niezbyt fortunny, był w swym pochodzeniu oparty na kulcie solarnym i kalendarzu egipskim (stworzonym przez kapłanów), zaś jego panowanie z niewielkimi korektami rozciągnęło się na chrześcijaństwo aż po 1582 r., czyli zadekretowanie przez Grzegorza XIII kalendarza zwanego gregoriańskim. Kalendarz ten państwa europejskie wprowadzały zresztą w różnych momentach właśnie w zależności od uwarunkowań religijnych i polityczno-społecznych, aż po początek wieku XX (Rosja komunistyczna w 1918 r.). Nie obywało się to czasem bez dramatycznych wstrząsów, by przypomnieć poważne zamieszki, z kilkoma ofiarami śmiertelnymi, w 1752 r. (mimo perfekcyjnego opracowania przez komisje, które powołał parlament angielski, wprowadzenia tego kalendarza pod kątem czasu pracy, wynagrodzeń i podatków, ludzie sądzili, że czas ich życia został skrócony o niemal dwa tygodnie).

Warto przypomnieć, że w katolickim Kościele obowiązuje **kalendarz kościelny**, wytyczający główne granice i daty czasu świętego, oparty na systemie

solarnym i lunarnym (Wielkanoc jako najważniejsze święto określana jest czasem lunarnym), na podstawie którego ustanawiane są święta stałe i ruchome oraz daty dzienne według imion patronów.

Kalendarz był też przedmiotem demonstracji i tryumfem określonych idei politycznych i światopoglądowych, czy, jak kto woli, manipulacji. Najlepszym dowodem był **francuski kalendarz rewolucyjny** (formalnie obowiązujący w latach 1793–1806), dość zasadniczo odbiegający od ram gregoriańskich, ustanawiający nowy podział roku, nowe święta i dni wolne od pracy, nowe nazwy miesięcy (często piękne i poetyckie, stworzone przez komediopisarza Fabre D'Eglantine'a, co nie uchroniło go zresztą przed gilotyną) i w sumie ustanawiający nową erę liczoną od roku I Rewolucji. Innym przykładem demonstracji światopoglądowej, stanowiącej już tylko zabieg mający legitymizować dawność idei i ruchu, jest **kalendarz wolnomularski**, gdzie do aktualnej daty rocznej dodaje się 4000 lat od rzekomej śmierci Hiram, budowniczego Świątyni Salomona, oraz ustanawiający dwa święta: na dzień św. Jana Ewangelisty i św. Jana Chrzciciela.

Ważną demonstracją ideową pozostawała zawsze domniemana data początkowa kalendarzowego liczenia czasu, a więc *ab urbe condita* w Rzymie, narodziny Chrystusa w chrześcijaństwie, początek rewolucji czy śmierć rzekomego założyciela ruchu.

Wspomnieć wreszcie wypada, że w niektórych państwach europejskich, na przykład monarchii austro-węgierskiej, o wielonarodowym i wieloreligijnym składzie społecznym, istniała tradycja wydawania niektórych kalendarzy uwzględniających równoległe święta katolickie, prawosławne i żydowskie, jak miało to miejsce w Galicji.

Dokładność kalendarzy, czy juliańskiego, czy gregoriańskiego, była znaczna, lecz zastosowanie ich nader problematyczne, co jest zmartwieniem historyków do dzisiaj. Wystarczy tu przytoczyć wybitnego znawcę problematyki, uczonego angielskiego Poola. Pisał on o poruszającym się po stosunkowo niewielkim obszarze Europy podróżnym w XIII w., który będąc na przykład kupcem wyruszył z Wenecji 1 marca 1245 r. (wspomnieć tu wypada, że w Republice Weneckiej tradycyjnie Nowy Rok rozpoczynał się właśnie w tym dniu, zwyczaj ten utrzymał się aż do obalenia Republiki przez Napoleona), przybywał on do Florencji w 1244 r., następnie po krótkim pobycie znalazłby się w Pizie, gdzie zaczynałby się rok 1246, wędrując do Prowansji znalazłby się ponownie w 1245 r., a wjeżdżając do właściwej Francji, powróciłby jeszcze raz do 1244 r., po to by powrócić wreszcie do Wenecji prawdopodobnie w 1246 r. Być może jednak dla owego wspomnianego podróżnego, jeśli rzeczywiście był kupcem, liczyły się bardziej dni i ewentualne miesiące spędzone w interesach, a niekoniecznie daty dzienne, miesięczne czy kolejność lat. I tu wkraczamy na grunt słynnych dziś i poniekąd już historycznych artykułów Jacques'a Le Goffa *Czas Kościoła i czas kupca* (1960) oraz *Od czasu średniowiecznego do czasu nowożytnego* (1964). Wspomniane publikacje bardzo przybliżyły świadomości czytelników moment, kiedy czas „święty” zaczął być przełamany przez ekonomicznie narzucony czas „świecki”. Trafnie napisze o tym sam autor w słowach: „A czas Kościoła? Istnieje nadal dla kupca chrześcijańskiego jako inna płaszczyzna jego egzystencji. Czas, w którego ramach działa on zawodowo, jest różny od czasu, w którym toczy się jego życie

religijne (...). Ze swych zysków oddaje dziesięcinę na cele dobroczynne (...). Czas grzechu i czas łaski (...) tak więc czas przyrodniczy, czas pracy zawodowej i czas nadprzyrodzony są w swej istocie oddzielone od siebie, a jednocześnie styczność między nimi nie jest wykluczona. Powodzie stają się źródłem świadomej spekulacji, niegodziwie zdobyte bogactwa otwierają wrota niebios (...) później kupiec protestancki, wychowany na Biblii, będzie nadal chętnie utożsamiał wyroki Opatrzności i własną pomyślność w interesach, choć świat, w którym żyje, przyzwyczaił się je odróżniać”.

Dla ludzi żyjących wówczas w mieście źródłem wiedzy o czasie, tak świeckim, jak i kościelnym, był zegar. Ludzie żyjący poza miastem nadal i długo podporządkowani byli przyrodzie, biciu dzwonu kościoła, o ile go słyszeli, i czasem wyznaczanym przez święta. (Tu dygresja o zegarze. Abstrahuję od jego pradziejów, to jest zegarów wodnych, początków zegarów mechanicznych od Archimedesza poczynając, wreszcie od klepsydr czy zegarów słonecznych. Te dwa ostatnie przetrwają do dziś w symbolice jako archetyp i symbol upływu czasu, zwłaszcza gdy były opatrzone wzniosłymi inskrypcjami w rodzaju *Dies nostri quasi umbra super terram et nulla est mora* lub *Omnes vulnerant – postuma necat*).

Były to zarazem pierwsze **wizualizacje czasu**; ważne, bo uświadamiające powszechnie ludziom jego istnienie, działanie i upływ. Majstersztykiem stały się jednak wielkie zegary końca średniowiecza i przypisywane im znaczenie. Ucieknę się tu tylko do trzech, ale jakże znaczących przykładów: zegara w Strasbourgu, zegara w Luwrze i zegara w Pradze.

Pierwszy powstał około 1350 r. (po wielu późniejszych udoskonaleniach) i podobnie jak wiele zegarów europejskich tej doby umieszczony został w katedrze, stanowiąc od początku swoisty „cud świata” – jego skomplikowana budowa i zewnętrzny kształt były tak zawile, że po przebudowaniu go w wieku XVI przez Conrada Dyasypodiusa wymagał pisemnych objaśnień wraz z ilustracjami dla przybywających rzesz ówczesnych turystów. Być może obok zegarów angielskich tego okresu w York i Wells stanowił najdoskonalszy przykład **mechanicyzycznej dydaktyki „czasu świętego”**.

Drugi, paryski, stworzony około 1370 r. przez Henriego de Vic, niezachowany do dziś w formie pierwotnej (zastąpił go potem zegar umieszczony w jednej z wież Conciergerie), odegrał rolę szczególną i ważną. Oficjalnie bowiem stał się symbolem powstania czasu świeckiej władzy państwowej. Rozkazem Karola V wszystkie dzwony Paryża miały rozbrzmiewać zgodnie z dzwonami tegoż zegara – **tym samym król stawał się symbolicznym władcą i regulatorem czasu państwa**. Być może, choć to mało prawdopodobne, to ten właśnie zegar poddyktował znajdującemu się opodal kościołowi Saint Germain l’Auxerrois w 202 lata później uderzenie w dzwony dające znak do rzezi w noc św. Bartłomieja. Na marginesie można dodać, że tenże Grzegorz XIII kazał wybić z tej okazji specjalny medal. Konsekwentnie potem niemal każda władza polityczna uznała i uznaje nadal swoje prawo do rządzenia czasem, ustanawiając święta państwowe lub je znosząc, regulując rytmy czasu pracy i wypoczynku, przyjmując lub odrzucając czas *sacrum* bądź dostosowując go do własnych racji politycznych.

Trzeci zegar to słynny praski Orloj, znajdujący się nie na ścianie kościoła czy pałacu, lecz ratusza w rynku Stareho Mesta. Stworzony został około 1410 r.

przez mistrza Hanusza. Tak miejsce, jak i czas powstania zegara w mieszczańskie, najbardziej zradykalizowanej, prohusyckiej części Pragi jest może najlepszym przykładem tego, co Le Goff określa miejscem styku czasu Kościoła i czasu kupca. Treść ideowa tego zegara ma z pewnością wydźwięk religijny, lecz jego umiejscowienie z pewnością mieszczańskie, biorąc pod uwagę pierwszą defenestrację praską dokonaną z okien tegoż ratusza. Dziś też, podobnie jak inne zegary, wymaga on ze względu na stopień komplikacji szczegółowych objaśnień przewodników. (Na marginesie można dodać, że identyczny zegar znajduje się w Ołomuńcu, lecz w latach pięćdziesiątych XX w. został on od strony formalnej gruntownie przekształcony w stylu socrealistycznym, co też jest swoistym „znakiem czasu”).

Tak więc pomiędzy ścianami katedry, pałacu i ratusza rozgrywała się historia podzielenia czasu na ograniczany z wolna czas Kościoła i pretendujące do monopolizacji czas polityczny i czas interesu gospodarczego. Zachodziło to w momencie wkraczania w nową epokę kiełkującego odrodzenia. Epokę, która w wieku XVI zmieniła w dodatku wygląd i funkcje tychże zegarów, przekształcając je dzięki technice w „zegary astronomiczne” i przydając im nie tylko funkcje kalendarza, ale także obraz „teatru świata” już niemal całkowicie świeckiego. Funkcje mechaniczycznej dydaktyki i wizualizacji czasu zostały zrealizowane do granic ówczesnych możliwości.

\* \* \*

Następstwem przyjętej tu perspektywy jest chęć porównania krzywej wyznaczającej postęp w mierzeniu czasu z ewentualnymi jej konsekwencjami w historii myśli politycznej. Z historii rozwoju techniki pomiaru czasu wyróżnić można trzy główne punkty chronologiczne.

Pierwszy przypada na okres od około 1300 r. do połowy XVII w. (wynalezienie udoskonalonego wahadła przez Huygensa). Niedokładność na dobę wynosiła od 1000 do 10 sekund.

Drugi obejmuje przedział od połowy XVII w. do połowy XX w. (udoskonalenie mechanizmów i powstanie zegara kwarcowego); niedokładność na dobę wynosiła od 10 sekund do jednej milionowej sekundy.

Trzeci natomiast od połowy XX w. do czasów współczesnych (dalsze udoskonalenie zegarów mechanicznych, kwarcowych i powstanie zegarów atomowych); niedokładność wynosi tu od jednej milionowej sekundy na rok do jednej sekundy na trzy miliony lat w tzw. zegarach cezowych drugiej generacji.

Istnienie jakiejś korelacji w tym względzie wydaje się dla niektórych badaczy problemem czasu i chronologii czy wyznawców bezwzględnej idei postępu sprawą pewną i oczywistą. Osobiście byłbym raczej zdania, że można dostrzec tylko pewne prawidłowości lub zachodzące zmiany, lecz czas historyczny idei ma rytm nieco odmienny od rytmu czasu rozwoju nauk technicznych, a nawet odmienny od historii politycznej.

Nawet najbardziej ugruntowane w historii politycznej i świadomości społecznej cezury nie pokrywają się do końca z owym rytmem myślenia o państwie i prawie. Jest to bowiem część szerszej historii idei, czyli jak pisze Foucault: „(...)

odtwarza genezę tego, co poczynając od przyjętych bądź nabytych wyobrażeń da początek systemom i dziełom. Pokazuje z kolei, jak stworzone w ten sposób wielkie bloki rozpadają się z wolna; jak rozplątują się wątki, jak kontynuują swój samotny żywot, by pójść w zapomnienie bądź połączyć się w nowy sposób. Historia idei jest przeto dyscypliną początków i końców, opisem niejasnych ciągłości i nawrotów, odtworzeniem rozwojów w linearnym kształcie historii (...) w tym sensie historia idei jawi się jako historia interferencji, jako opis koncentrycznych kręgów, które otaczają dzieła, podkreślają je, wiążą ze sobą i włączają je w to wszystko, co tymi dziełami nie jest”.

Można za podziałami F. Braudela mówić tu o czasie krótkim, „zdyszonym”, czasie średnim „koniunktur”, czy wreszcie sławetnym „długim trwaniu”, ale dla historii doktryn cezura może być zarówno konkretna data, jak i bardzo długi odcinek czasu. Częstokroć też okres historyczny, który nie obfituje w zdarzenia lub fakty o gwałtownym charakterze (a przecież historycy polityczni to lubią najbardziej), ale kumulujący w sobie ciąg procesów o różnym podłożu, pozornie spokojnie przebiegających i równie pozornie mało znaczących. W przyszłości zostaje on uznany za próg, którego przekroczenie otwierało perspektywę rozwoju nowej idei politycznej, sięgającej daleko w przyszłość danego państwa, narodu czy wręcz cywilizacji.

Nic więc też nie stoi na przeszkodzie, by takie procesy zachodzące w nauce czy technice na długich odcinkach czasowych uznawać za współczynniki kształtowania nowych idei, w ramach których na przykład pogląd na rolę czasu jest składnikiem ważnym, jeśli nie konstytutywnym. I tu być może dochodzi do ewentualnej korelacji pomiędzy rozwojem nauki i techniki a ideami politycznymi. Pozostaje to jednak raczej pytaniem, bo nawet nie hipotezą. Wynika to stąd, że postęp naukowo-techniczny wyprzedza do dziś rodzenie się nowych idei polityczno-prawnych, a więc i cezury ulegają znamiennemu przesunięciu.

Usiłując te kwestie w jakiś sposób unaocznic, ograniczę się do przewijającego się przez wieki sporu dwóch podstawowych koncepcji historiozoficznych: wizji cykliczności i zarazem swoistej powtarzalności dziejów oraz wizji ciągłej zmiany często podkreślającej niepowtarzalność czy jednorazowość wydarzeń historycznych. Paradoksalnie problem ten *sensu stricto* związany z nauką o przeszłości jest w swej istocie troską o perspektywy przyszłości.

## **Okres pierwszy od okolicy XIV w. do schyłku XVIII w.**

Klimat tej epoki wobec problemu czasu nacechowany był od początku swoim falowaniem nastrojów. Wahaly się one od optymizmu, że oto żyjemy w nowej wspaniałej rzeczywistości (łatwo zauważalna samoświadomość życia w nowej epoce i zadowolenie z niej w pismach np. G. Rucellai czy U. von Huttena), postrzeganych we wczesnej fazie renesansu, do czasem przedwczesnego pesymizmu w okresie późniejszym, postrzeganego jako upadek sztuki (G. Vasari), melancholię (A. Dürer) utożsamianą z upływem czasu (W. Szekspir, W. Raleigh, E. Spencer) lub rozkwit „faustycznych” tęsknot (Ch. Marlowe). Czas jawił się tu jako wielki destruktor życia człowieka, świata lub nawet wszechświata,





jak u Spencera. Nieubłagany jego wpływ, utrata młodości, a jednocześnie wspomnienia wywoływały skłonność do idealizacji przeszłości lub tęsknotę za powrotem wieku jeśli nie „złotego”, to przynajmniej lepszego od czasów właśnie przemijających. Klimat ten zaczął ulegać dość zasadniczej zmianie już w wieku XVII i w okresie rozkwitu oświecenia, właśnie pod wpływem zdobyczy szczególnie na polu nauk ścisłych, przyrodniczych i medycznych. Empiryzm, racjonalizm, poszerzenie wiedzy geograficznej, zmiana stylu życia przy niemalym udziale liberalizmu gospodarczego i swobody obyczajowej (libertynizm) wlały więcej optymizmu w spojrzeniu na wpływ czasu i jego skutki wobec jednostki ludzkiej. W skrajnych przypadkach przechodziły one w prospektywizm nacechowany euforią nad umysłem ludzkim, nieograniczonymi możliwościami wiedzy i techniki oraz ślepą wręcz wiarą w nieustannie dokonujący się postęp. W wielu wypadkach stało to w rażącym kontraście z okrucieństwem obyczajowym, wojnami i metodami ich prowadzenia oraz relatywizmem moralnym wobec zła. Oświecenie swym polem intelektualnym i osiągnięciami naukowymi pokrywało tylko częściowo rudymenarne cechy natury ludzkiej, wierząc przesadnie, że w ślad za nim idzie zasadnicza zmiana owych cech na rzecz humanitaryzmu i głębokiej poprawy obyczajów. Dlatego całkowicie zgadzam się ze słowami wywiadu udzielonego przez prof. A.K. Wróblewskiego, który powiedział: „Postęp w genetyce, odkrywanie mechanizmów dziedziczenia, wiedzy na temat ewolucji, wyprzedził rozwój psychologii czy badania nad świadomością. Rozminął się także z etyką, która od czasów starożytnych prawie w ogóle się nie zmieniała. Rozdźwięk między naukami ścisłymi a humanistycznymi oraz psychologią jest ogromny. Rozszyfrowujemy geny, zabieramy się za klonowanie, ale jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie, to jesteśmy barbarzyńcami”.

W okresie tym dokonała się znacząca polaryzacja stanowisk w stosunku do historii i historiozofii, zwłaszcza we wspomnianym aspekcie jej cykliczności i linearnego przebiegu, a co za tym idzie – również w stosunku do zagadnienia czasu.

Klimat epoki wpływał ze swoimi niepokojami na odnowienie istniejącej od czasów rzymskich (stoików, poetów Lukrecjusza, Wergiliusza, historyków: Sallustiusza, Liwiusza, częściowo Tacyty) pozornie tradycyjnej historiozofii o wymiarze **cyklicznym**. Śladem tym podążyli na przykład Machiavelli i Guicciardini, choć cykliczność u nich była o wiele bardziej subtelna niż w wiekach minionych i nie sprowadzała się do zamkniętych i kolejno pojawiających się kręgów; będąc realistami, wiedzieli, że historia nie powtarza się literalnie i nie ma powrotu do wymagowanego „złotego wieku”; wprost przeciwnie niż u Machiavellego zło dłużej utrzymuje się u władzy.

Zadziwiające stanowisko pośrednie zajmował natomiast prekursor i entuzjasta nowych nauk, szczególnie przyrodniczych, i propagator idei postępu, F. Bacon, który w jednym z ostatnich swych esejów przyrównuje państwo z tworami organicznymi od momentu narodzin po śmierć. Powracał on tym samym poniekąd na tory tradycyjnej historiozofii o podłożu organicystycznym, choć bez zabarwienia religijnego. Było to jednak może uproszczone, ale linearne ujęcie zagadnienia czasu.

Inną postawę prezentował Bodin w *Metodzie łatwego rozumienia historii*, nie negujący cykliczności, lecz poszukujący odmiennych indywidualnych przyczyn



powodujących rozwój lub zmierzch państw albo psucie się ustrojów politycznych, był zresztą również jednym z pierwszych historyków historiografii. Bieg dziejów powszechnych zbliżał się u niego wyraźnie w stronę linearności, choć nie całkiem prostej. Podobną drogą zdążył potem Bossuet, dostrzegający w historii „ciąg uporządkowany”, wywodzący się z woli Boga.

Wyraźnie w stronę linearności dziejów podążali myśliciele związani z naukami ścisłymi, jak na przykład Barrow i pozostający pod jego wpływem Newton, pierwszy oceniający czas w kategoriach matematyczno-geometrycznych, drugi tworzący ideę „czasu absolutnego”, rządzącego się własnymi prawami wedle ruchów ziemi i ciał niebieskich i tworzącego ciągłą sekwencję liniową. Inne nieco stanowisko zajmował osobisty adwersarz Newtona, Leibniz, twórca „zasady dostatecznej przyczyny”, w konsekwencji określającej porządek chronologiczny i tym samym linearną koncepcję historii.

Historię jako naukę dezawuował za to twórca nowej epoki myślenia, Kartezjusz, stojący na stanowisku, że matematyka i problem „pewności absolutnej” nie mogą mieć tu zastosowania, a więc historia pozostaje zbiorem arbitralnych i subiektywnych sądów.

Swoistym fenomenem omawianego tu okresu pozostają G.B. Vico i J.G. Herder, którym I. Berlin poświęcił nader interesującą rozprawę. Spojrzenie Vicony na historię było rzeczywiście nowe, co doceniono znacznie później. Dzieje były dlań tworem człowieka, który poznawał sam siebie przez pryzmat historii. Doceniał tu znaczenie wolnej woli ludzkiej, a nawet jego kaprysu. Dopuszczał ograniczone zastosowanie nauk ścisłych w badaniach nad przeszłością. Szczególny nacisk kładł na zrozumienie historii i zachodzących w niej procesów. Przypisywana mu idea prostej cykliczności dziejów jest grubym uproszczeniem. Vico stworzył model historii cykliczny, ale w postaci spirali, gdzie nie może być mowy o powrocie czy nawet literalnej powtarzalności historii. W sumie spirala owa zmierza w kierunku linearności wydarzeń i ich następstw, tyle że nie w formie linii prostej. Model ten pojawia się dziś w wielu wersjach, na przykład pętli, zachodzących na siebie kół, sinusoidy czy właśnie spirali; nie występuje już jednak klasyczna wersja w postaci koła powracającego do punktu wyjścia.

Herder ze swoją koncepcją dziejów pozostawał poniekąd w orbicie ewolucyjnego historyzmu. Zaslugą jego stało się stworzenie relatywizmu historycznego, w ramach którego każda epoka ma swój niepowtarzalny przebieg i charakter oraz odrębny i ukształtowany system wartości.

Obaj myśliciele nie byli progresistami w sensie wiary w nieustający i nieunikniony postęp, wierzyli jednak w zachodzącą nieustannie zmianę oraz jakieś formy rozwoju.

Po stronie progresistów znaleźli się tacy myśliciele oświecenia francuskiego jak chociażby Turgot i Condorcet. Kant zajął tu znacznie bardziej umiarkowane stanowisko, widząc w historii elementy harmonii, której oczekuje człowiek, i dysharmonii, jaką tworzy wobec niego przyroda. Na tym tle dwaj najwięksi wrogowie ideowi Rousseau i Wolter stanowili wyjątek, negując zasadę postępu, choć zupełnie z innych pozycji.

Okres wieków od XVI do końca XVIII przyniósł zasadniczy przełom umysłowy w ideach, w których czas i historia odgrywały rolę zasadniczą. Koncepcje

cja czasu mierzalnego fizykalnie w połączeniu z astronomią, fizyką i matematyką włączyły w świadomość myślicieli nie tylko mechanicystyczny obraz świata, ale uświadomiły, że historia zmierza do ujęcia jej w ramy dyscypliny naukowej. Dyscypliny ze swoimi regułami, zasadami oraz próbą ustalania prawd nią rządzących, które wiodły potem w stronę nomotetyzmu historycznego. Obojętne jest, czy schemat historii cyklicznej czy linearnej ujmowany był jako obraz dziejów; odtąd zaczynał on jednak mieć wymiar naukowości, a nie tylko przymiot egzemplifikacji wydarzeń aktualnych lub pouczeń na przyszłość.

Omówiony wcześniej pomiar dokładności czasu miał więc bezpośredni wpływ na rozwój precyzyjnego żeglowania (za pomocą chronometru morskiego około 1762 r.), czyli odkrywania nowych światów i kręgów cywilizacyjnych oraz uświadomienie sobie istnienia innego spojrzenia na czas i historię. Odkrycia te w sferze idei polityczno-prawnych skłoniły myślicieli do refleksji nad własnym rozwojem społecznym, odkrywając „stany natury”, nowe odczytanie praw naturalnych czy wreszcie utopijne wizje „wysp szczęśliwych” lub „dobrego dziękiego” żyjącego bez poczucia czasu, historii i grzechu. Mogło to zmierzać i w stronę odwrotną, ukazującą okrucieństwo natury i przyrody, dzikie instynkty ludzkie tłumaczące i usprawiedliwiające, może czasem w zbyt wygodny sposób, zło towarzyszące ludzkości.

Odkrycia te miały też skutek niejako wewnętrzny, zmierzający do skupienia się nad własną historią i odnowienia modnych paradygmatów o „prawdzie jako córce czasu” oraz „historii jako nauczycielce życia”. Na tym gruncie rodziła się nowożytna, zaawansowana historiozofia oraz profesjonalny warsztat historyczny, który opierał się właśnie na badaniach nad czasem oraz doskonaleniem jego pomiaru i osiągnięciem większej dokładności chronologicznej.

## Wiek XIX

Klimat ideowy tego wieku, nawet jeśli zamknąć go w tradycyjnie historycznych ramach 1815-1914, z punktu widzenia nauki o czasie tudzież historii idei polityczno-prawnych nie mieści się w nich i pozostaje w tym względzie sztucznym tworem chronologicznym. Jest on bowiem trudny do scharakteryzowania z punktu widzenia stosunku idei politycznych do problemu czasu i historii. Waha się on od programowej ucieczki od idei oświeceniowych z postępowaniem na czele po głęboką wiarę w ich kontynuację. Od chęci powrotu do „złotego wieku” do żądania rewolucji i obalenia starego porządku. Od skrajnego pesymizmu w ocenie przeszłości do zachwyty nad nią i oczekiwania jeszcze lepszej przyszłości. W XIX w. dokonuje się bowiem proces faktycznej multiplikacji idei polityczno-prawnych, które zaczynają czerpać swe źródła spoza religii, filozofii czy nauki prawa, sięgając ku psychologii, socjologii, antropologii, a głównie filozofii nauki bardzo szeroko pojmowanej; taką też jest mozaika idei politycznych i prawnych, w których czas i historia już jako pełnoprawna gałąź nauki odgrywają rolę zasadniczą.

Z punktu widzenia ścierania się cykliczności i linearyzmu w widzeniu dziejów granica stanowisk nie jest już tak jasna i nie da się połączyć li tylko z ideą



postępu lub jego negacją. Z pewnością można wyróżnić kilka typów myślenia, choć posiadają one w tym wypadku jedynie walor egzemplifikacji.

Jeden, wiążący powtarzalność w widzeniu dziejów (nie historii jako nauki) z poszukiwaniem w niej oparcia dla teraźniejszości i przyszłości. Wśród nich znajdują się nie tylko myśliciele, ale poeci i artyści – stąd proces mitologizacji przeszłości. Można tu przytoczyć na przykład część konserwatystów angielskich z Burkiem na czele, a potem jego spadkobiercami, aż po Tennysona i Kiplinga. Można go dostrzec u romantyków angielskich w typie Byrona lub niemieckich: w malarstwie C.D. Friedricha bądź upoetyzowanej twórczości Novalisa, choć wcześniej trzeźwy i częściowo tylko romantyczny Goethe napisze w *Fauście*: „To, co nazywasz czasu duchem, / jest jeno duchem historyka, / który z zacietrzewieniem głuchem / przeszłość jak rdzawe drzwi odmyka; / lecz cóż tam znajdzie w tym lamusie? / ożogi, z kanap stare włosie – / czasem historyk to przystroi / w miłe powaby lśniącej zbroi” (tłum. E. Zegadłowicz). Poczet romantyków można by w owym zapatrywaniu na przeszłość i historię znacznie jeszcze wzbogacać o jego poszczególne wersje narodowe, na przykład polską czy rosyjską, lecz przecież chodzi tu wyłącznie o pewien typ myślenia: typ cechujący bliskich, lecz nie tożsamy z romantyzmem teokratów francuskich i cały legion innych im podobnych intelektualnie twórców.

Inny typ myślenia to wynoszący historię jako naukę na piedestał, lecz wyciągający z niej zupełnie inne i różne wnioski. Wystarczy tu wymienić Hegla, Marksa, historyczną szkołę niemiecką, Tocqueville’a, Thiersa, Guizota i wiele innych nazwisk. Reprezentujący ten typ traktowali naukowo historię i jej pisanie, budowali mniej lub bardziej fachowy warsztat i instrumentarium historyka, zmierzali wyraźnie w kierunku jej ideologizacji, ukazując wielkie ciągi i trendy przeszłości służące jednak próbom udowodnienia z góry założonej tezy politycznej. Polskim przykładem były tu krakowska i warszawska szkoła historyczna.

Inny jeszcze typ traktował przeszłość dość dowolnie, jako przykład lub tworzywo dla przyszłości. To myślenie o dziejach w kategoriach budulca własnych idei, jak u Nietzschego, Carlyle’a czy H. Spencera. Przeszłość jest tu nie tylko upoetyzowana, ale i zmitologizowana dla ukazania idei własnych. Rola jej pozostawała służebną, ograniczając się przeważnie do legitymizacji „dawnością” idei nowych, mających zresztą burzyć ów stary porządek świata. W niektórych przypadkach można wręcz mówić o negacji przeszłości, mającej ustąpić nowemu obliczu świata.

Wyliczone zupełnie przykładowo i wyrywkowo owe typy myślenia można rozpatrywać pod kątem przyszłości, bo przeważnie po to powstały. Wtedy dostrzeżemy dopiero ich umownie nazwany pesymizm lub optymizm historyczny.

Wiek XIX jest jednocześnie wiekiem historii jako nauki. Wystarczy sięgnąć do monumentalnego dzieła A.F. Grabskiego, by przekonać się, jaki skok uczyniła metodologia historii w owym wieku. Metodologia tworząca wręcz nową naukę o czasie i jego znaczeniu dla historii. Naukowości historii już wówczas prawie nikt nie podważał, wprost przeciwnie, zaczynała ona czasem negatywnie ciążyć na innych gałęziach nauk humanistycznych lub na myśleniu społecznym i politycznym. Dowodem na to stały się wspomniane systemy, tak Hegla,

jak i Marksa. Nie bez powodu Nietzsche zgryźliwie stwierdził: „Historyk patrzy wstecz; w końcu **wierzy** też wstecz” (tłum. S. Wyrzykowski).

Wiek ten stoi też pod znakiem potwierdzenia i rozwinięcia naukowości prawa i rozwoju tej gałęzi wiedzy (w tym również filozofii prawa i jej historii, czyli poprzedniczki naszej dyscypliny). Powstanie rozlicznych szkół prawa, sięganie do jego historii nie tylko bowiem legitymizowało prawo jako naukę, ale tworzyło potrzebę badań nad chronologią i znaczeniem czasu w rozwoju prawa na przestrzeni wieków. Na marginesie można dodać, że istniejący od czasów rzymskich, lecz ujęty w karby nowoczesnych kodeksów ukształtował się nowoczesny i do dziś obowiązujący **czas prawnika** skrępowanego terminami procedur, rozpraw, wnoszonych pism procesowych *etc.*, w znacznej mierze determinujący życie zawodowe i prywatne.

Dziewiętnaste stulecie zaznacza się też inną cechą, jaką jest narastająca kumulacja efektów badań w sferze nauk ścisłych i przyrodniczych z przyspieszeniem przenoszenia ich w sferę idei społeczno-politycznych. Klasycznym przykładem wydaje się tu Darwin i jego dzieło oraz skutki w sferze ideologicznej w postaci darwinizmu społecznego, niektórych szkół socjologicznych, wreszcie rasizmu w różnych jego mutacjach.

Podobna kumulacja efektów następuje w omawianej tu sferze badań nad czasem, jego pomiarem i technikami z tym związanymi. Wiek XIX w znacznej mierze sumuje, dodaje i odkrywa nowe sposoby działania w tej dziedzinie. Znamienne są słowa Lewisa Mumforda: „Zegar właśnie, a nie maszyna parowa, jest kluczowym mechanizmem nowoczesnej ery przemysłowej”. Skutkiem tego staje się kielkująca już przed renesansem, ale udoskonalona przez wieki i rozkwitająca sztuka handlu czasem. Przekształcenie go w towar w pełnym tego słowa znaczeniu dokonuje się właśnie w wieku XIX, sprzyjając jednocześnie rozwojowi nowych szkół ekonomicznych oraz rzutując pośrednio na wiele kierunków idei politycznych z liberalizmem na czele. Chronometraż i ergonomia skutecznie rozpoczynają właśnie wtedy proces dehumanizacji pracy człowieka, którego symbolem stanie się w przyszłości taśma produkcyjna H. Forda.

Ulega też zasadniczej zmianie relacja pomiędzy cyklicznością dziejów a wypierającą ją linearnością. Nie ma tu jednak bezpośredniej implikacji z ideą postępu, bowiem w sferze doktryn idea ta przeżywa swoje wzloty i kryzysy bez związku z linearnym postrzeganiem czasu. Charakterystyczne jednak w sferze językowej staje się zacieranie granic pojęć, takich jak „postęp”, „rozwój” i „zmiana”, które mimo odmiennych konotacji w warstwie idei, ale i opracowań naukowych zaczynają być używane zamiennie. Proces ten wydaje się postępujący aż do czasów współczesnych.

Koniec wieku XIX przynosi jednak symboliczne odkrycie pozostające pozornie bez związku z omawianą tu problematyką. Jest nim odkrycie zjawiska radioaktywności oraz okresu połowicznego rozpadu pierwiastków radioaktywnych, a wreszcie w okresie późniejszym powstania metody węgla C 14, czyli innymi słowy zegara mierzącego czas wstecz, co w wieku XX będzie narzędziem dla wielu historyków i archeologów.

Ta garść refleksji bynajmniej nie daje żadnej sumy wiedzy o wzajemnych powiązaniach historii myśli z historią odkryć i dokonań naukowych nawet na



tak wycinkowym polu jak kwestia czasu, ale może daje pewne pojęcie o tym, co wiek XIX dał czasom nam bliskim i z czym sami mniej lub bardziej świadomie obcujemy.

## Współczesność

Granice wieku XIX, jak wspomniałem wyżej, były całkowicie umowne i w sumie z punktu widzenia omawianej tu problematyki – amorficzne. Podobnie rzecz się ma z przyjętym tu pojęciem współczesności. Można o niej mówić, zakładając cezury czasowe przyjmowane w historii politycznej, a więc od 1918 r. do dziś, lub też biorąc pod uwagę rozwój nauki i odkrycia przełomowe dla naszych czasów przesuwając początkową cezurę na przełom XIX i XX wieku. Jest to zresztą sprawą drugorzędną, albowiem współczesnością dla historii idei, jak i rozwoju wiedzy jest to, co posiada ciąg dalszy dziś i co może w sposób znaczący oddziaływać na przyszłość. Trafne wydają się tu konstatacje neurobiologa nuklearnego Guenthera Stenta, który analizując dzisiejsze rozumienie terminu „postęp” odrzuca interpretacje mówiące o „większej szczęśliwości” czy „możliwości osiągnięcia doskonałości przez człowieka” na rzecz „chęci panowania”, zaś „lepszym światem” będzie ten, w którym „człowiek ma większą władzę nad rzeczywistością zewnętrzną; taki, który jest dla niego bezpieczniejszy ekonomicznie”. Jest może nieco gorczy w tym stwierdzeniu, lecz trudno też odmówić mu racji wobec procesów społecznych i gospodarczych zachodzących na naszych oczach.

Usiłując nieco przybliżyć i zobrazować, jakim zmianom podlega problem czasu w kontekście ewentualnego oddziaływania na świat idei polityczno-prawnych, dość subiektywnie i arbitralnie wybrałem cztery nader istotne, moim zdaniem, odkrycia naukowe.

Pierwszym z nich jest zakwestionowanie niemal wszystkich dotąd znanych koncepcji czasu przez teorię względności Einsteina oraz niemal równoległe teorię i mechanikę kwantową Plancka, Bohra, Heisenberga i innych. Sprzeczność owych teorii, a jednocześnie empiryczna ich potwierdzalność wygenerowały ponad 25 innych hipotez (z tzw. teorią strun na czele), próbujących doprowadzić do stworzenia jednej ogólnej, godzącej sprzeczności, teorii, co w przekonaniu wielu wybitnych fizyków jest niepodobieństwem. Powstanie owych teorii, a następnie ich upowszechnienie, nawet na poziomie popularyzatorskim (np. wspomniany Hawking), literatury *science fiction*, filmu czy telewizji sprawiły, że wielość koncepcji czasu jest dziś faktem oczywistym, a pojęcia zakrzywiającej się czasoprzestrzeni czy ugięcia światła nie budzą zdziwienia, a cóż dopiero konfuzji. Akceptacja wielości czasów nie zmienia zresztą w niczym operowania czasem „ziemskim” (podobnie jak operowanie geometrią Euklidesową), bo w swej linearnej formie spełnia on większość oczekiwań ludzkich.

Przykładem drugim zmieniającym obraz wszechświata i świata jest odkrycie „uciekających galaktyk” Hubble’a, a potem dokonania wielu uczonych na temat „wielkiego wybuchu” (Bing Bang) oraz „rozszerzającego się wszechświata”. Dziś znacząca część astronomów i kosmologów akceptuje tę teorię, która również

weszła do społecznej świadomości, choć czasem w formie nader uproszczonej. Z punktu widzenia światopoglądowego ma ona znacznie ważniejszy i głębszy wymiar. W 1951 r. papież Pius XII, poznając zarys owej teorii, był nadzwyczaj zadowolony, uznając ją za dowód aktu kreacji boskiej. Odtąd też ma owa teoria swoją podwójną wymowę światopoglądową, dzielącą jej zwolenników na dwa obozy: dzielących entuzjasm papieża oraz sceptyków co do boskiej ingerencji. Sprawdziła się natomiast intuicja badawcza św. Augustyna, łączącego w jedno moment powstania czasu oraz „nieba i ziemi”, bowiem zwolennicy „Bing Bang” stoją również na tym stanowisku, widząc w nim moment powstania czasu w każdym jego rozumieniu. Interesujące zresztą są odpowiedzi na pytanie, co było „przed”? Święty Augustyn odpowie: „Zanim uczynił niebo i ziemię, Bóg niczego nie uczynił”, zaś S. Hawking na podobne pytanie odpowiedział: „Pytać, co było przed Wielkim Wybuchem, to jak pytać o punkt położony o kilometr na północ od bieguna północnego”. Wypada tu jednak zaznaczyć, że zarówno sam Hawking, jak i poważna część astronomów i kosmologów podchodzi do hipotezy „Bing Bang” z dużą ostrożnością lub ją wręcz kwestionuje. Wyrazem tego był „List otwarty do społeczności naukowej” z 2005 r., podpisany przez grupę wybitnych przedstawicieli poglądów odmiennych z E. Lernerem na czele. Alternatywą miałby tu być wszechświat po prostu istniejący i niemający początku podobnie jak czas. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że kosmologia w gruncie rzeczy składa się z wielkiej liczby hipotez, które nie poddają się falsyfikacji, wypada się zgodzić ze słowami L. Landaua, że: „Kosmolodzy często się myślą, ale nigdy nie mają wątpliwości”.

Trzeci przykład, jaki można zaproponować, to idea i pomysł tragicznego geniusza A. Turinga i J. von Neumanna, dotyczące powstania komputera i sztucznej inteligencji, a w konsekwencji przewidziana przezeń idea komputera osobistego i powstanie sieci, czyli dzisiejszego internetu. Idea tego wynalazku zaowocowała i owocuje dalej tworzeniem alternatywnego czasu wirtualnego niekoniecznie pokrywającego się z czasem tzw. realu oraz stworzeniem przestrzeni wirtualnej mogącej stać w całkowitej opozycji do rzeczywistości. W sumie powstała alternatywna czasoprzestrzeń o nieprzewidywalnych, tak pozytywnych, jak i negatywnych, konsekwencjach. Przykład ten należy do tych, które na różne sposoby dotyczą nas wszystkich i których pogłębianie się jest procesem jak na razie nieustającym.

Ostatnim przykładem jest odkrycie struktury DNA przez J. Watsona i F. Cricka i zbudowanie w konsekwencji całej dziedziny tzw. inżynierii genetycznej, której lawinowemu wręcz rozwojowi możemy przyglądać się niemal z dnia na dzień. Odkrycie to należy nie tylko do tych, których zastosowanie staje się powszechne, na przykład badania DNA w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości czy medycynie, ale również to, które z racji ingerencji w sferę życia sprawia najwięcej problemów etykom i prawnikom. W stosunku do sfery czasu oferuje nie tylko leczenie niektórych schorzeń, a więc wydłużanie czasu biologicznego człowieka, lecz polaryzuje świadomość społeczeństw, tworząc jednakowe nadzieje i obawy co do całego rodzaju ludzkiego.

Wszystkie podane tu przykłady zostały wybrane świadomie, choć zapewne można odnaleźć ich więcej, bowiem każdy z osobna nie stanowi jeszcze dowo-



du na jakościową zmianę poglądów na czas. W sumie jednak dają one asumpt do wysunięcia hipotezy, że zmiana ta nastąpiła. Dostrzec to można przez pryzmat multiplikacji czasów, w jakich żyje niemal każdy człowiek, przez problem postępującej wizualizacji czasu właśnie w ramach internetu, filmu czy telewizji, przez rozciągnięcie dyskusji o cykliczności historii na kwestie przyszłego i hipotetycznego kurczenia się wszechświata. Wreszcie na poziomie jednostki, co najważniejsze, perspektywy poprawy komfortu dłuższej jej egzystencji na świecie. Ma rację D. Bolter, gdy stwierdza: „Jest sens zajmować się Platonem i ceramiką łącznie, dla zrozumienia świata greckiego oraz Kartezjuszem i zegarem mechanicznym łącznie dla zrozumienia Europy XVII i XVIII wieku. Podobnie ma sens uznanie komputera za techniczny paradygmat nauki, filozofii, a nawet sztuki nadchodzącego pokolenia”.

Tu też przychodzi czas na zadanie ostatniego z pytań, a mianowicie czy jeśli rzeczywiście nastąpiła we współczesności zmiana na miarę przełomu kartezjańskiego, to jak się ona ma do świata idei politycznych i prawnych?

Odpowiedź na to pytanie jest nie tylko złożona, ale i w znacznej mierze hipotetyczna. Złożoność wynika bowiem z teoretycznego zabiegu rozdzielania doktryn politycznych od doktryn prawnych. Hipotetyczność zaś jest immanentnym składnikiem każdego prognozowania bliskiego w swej istocie futurologii czy wręcz profetyzmu.

Zabieg rozdzielania doktryn politycznych od doktryn prawnych jest sztuczny, bowiem częstokroć dochodzi tu do wzajemnych sprzężeń i implikacji, one same zaś pozostają w stanach nader skomplikowanych zależności. Niemniej gdy spojrzeć na historię doktryn i świat współczesny, dostrzec można znacznie większą liczbę odmian myśli politycznej, ich większą modalność, zdolność adaptacyjną do powstającej rzeczywistości, wreszcie specyficzny stosunek do postępu nauki i wiedzy. Cytowany już A. Aveni, może nieco brutalnie, ale trafnie napisze: „Ideologia jedynie usprawiedliwia, ale nie pobudza. Staje się wynalezionym lub zaadaptowanym przez władców narzędziem służącym do uprawomocnienia ich władzy. Ludzkie wartości i poglądy zdają się zawsze podążać za postępem w sferze ekonomicznych środków utrzymania”. Jest to zdanie nieco krzywdzące, bowiem kreowanie idei, w tym także politycznych, jest jednak aktem twórczym umysłu ludzkiego, a nie tylko odkrywaniem istniejących już zjawisk i praw, jak to ma miejsce w świecie przyrody, fizyki czy astronomii. Nie zmienia to jednak faktu, że owe idee nawet wtedy, gdy odwołują się do przeszłości lub ewokują lepszą czy wręcz świetlaną przyszłość, pozostają wciąż na usługach aktualnych potrzeb politycznych. Stąd ich relacja do czasu, kwestii rozwoju czy postępu, a wreszcie stanu nauki i wiedzy jest procesem znacznie szybciej przebiegającym niż w przypadku prawa czy przemian ustrojowych. Oddane już w XIX w. na usługi partii politycznych, kreują obraz rzeczywistości nam współczesnej, taki, jakiego potrzebuje siła perswazyjna partii i jakiego oczekuje ich klientela. Nie neguje to istnienia samodzielnie tworzonych doktryn politycznych, które jednak w porównaniu z wiekami ubiegłymi tracą swój indywidualizm i wpływ w zderzeniu z masowym odbiorcą, stając się z wolna polem dywagacji wąskiej grupy znawców, historyków idei czy intelektualnie zaawansowanych specjalistów od tworzenia programu i wizerunku partii politycznych. Tak więc świat współ-



czesnych idei politycznych jest w stanie podążać w miarę szybko za rozwojem nauki i wiedzy, choć zapewne zawsze będą istnieć pewne opóźnienia oraz bariery światopoglądowe niepozwalające na przykład uznać niektórych osiągnięć nauki z punktu widzenia moralności czy pryncypialnych zasad, jakie wyznaje dana część społeczeństwa. Mimo tego stosunkowo szybkiego nadążania za rzeczywistością w XX w. nastąpiło zaskoczenie twórców idei i historyków przez wydarzenia zmieniające zasadniczo ich poglądy, jak na przykład wybuch fundamentalizmów religijnych, od Chomeiniego poczynając, po rozwój sieci globalnego terroryzmu w nowej postaci. Daleki tu jestem od prognoz w rodzaju Fukuyamy zmieniającego swe poglądy co kilka lat, a nawet od solidnie podbudowanych naukowo konstatacji Huntingtona. Przypuszczać jednak mogę, że i doktryny polityczne w „czystej” swej postaci nie tylko przyjmują nową formę, ale i z trudem nadążają za wytłumaczeniem i uzasadnieniem rzeczywistości. Tej rzeczywistości, która z biegiem czasu wymusza zmianę, a nawet sama rozwiązuje problemy, przed którymi staje świat doktryn politycznych.

Inaczej rzecz się ma z doktrynami prawnymi, których proces rozchodzenia się z polityką rozpoczął się już naprawdę w renesansie, a osiągnął niemal ostateczne rozdroże w XIX w. Dziś proces emancypacji tych doktryn oraz kierunki rozwoju filozofii prawa są tak dalece zaawansowane, że wspomniane wyżej wzajemne implikacje i związki wprawdzie istnieją w moim przekonaniu nadal, lecz są od strony odbiorcy nie zawsze jasne i uchwytnie. Ich zdolność adaptacyjna i akomodacyjna w stosunku do szybkich zmian rzeczywistości oraz rozwoju wiedzy i nauki jest znacznie mniejsza. Jeśli weźmiemy przykładowo dwie klasyczne grupy doktryn prawnych, to jest prawa naturalnego i pozytywizmu prawniczego, łatwo jest dostrzec trudności, z jakimi borykają się one w zderzeniu ze zmieniającym się światem masowej informacji, inżynierią genetyczną, biotechnologią czy kwestiami norm prawa międzynarodowego, tam, gdzie w grę wchodzi sprawy integracji lub procesów globalizacyjnych. Nie wspominam tu o przyczynach, takich chociażby, jak rozpad tradycyjnego widzenia świata opartego na organicyzmie czy mechanicyzmie. Tu bowiem właśnie na skutek jakościowego skoku nauki dokonał się proces swoistej entropii niszczącej w swoich skutkach podstawy tradycyjnych szkół prawnonaturalnych, gdzie nawet koncepcje tak wybitnych uczonych, jak: Stammlera, Radbrucha, Fullera, Coinga, Finnissa, Oakeshotta i innych, zaczęły szukać prób kompromisu z oddalającą się rzeczywistością. W sumie prowadziło to i prowadzi nadal do swoistego „upozytywnienia” szkół prawa naturalnego, a więc i odejścia od dawnego twardego kośćca zasad religijno-moralnych w stronę jeśli nie relatywizmu, to względnego, moim zdaniem, pojmowania sprawiedliwości właściwej tak społeczeństwom, jak i jednostkom. Celowo pomijam tu tradycjonalistów w rodzaju Straussa, Kirka czy Vogelina, których koncepcje, choć legitymowane przeszłością, zdają się z wolna tracić rację bytu wraz z przyspieszeniem zachodzących zmian.

Odmienna, choć nie mniej opresyjna sytuacja dotyka pozytywizm prawniczy, który próbując ogarnąć rzeczywistość może z natury rzeczy osuwać się w otchłań stopniowej kapitulacji, godząc się na rozwiązania naganne etycznie i humanitarnie. W sumie dostrzec tu można raczej próbę prawnego ratowania i doraźnego naprawiania istniejącego już stanu niż rzeczywiste tworzenie kon-



cepcji i doktryn na tyle uniwersalnych, by mogły one stanowić filozoficzno-prawne oparcie dla rzeczywistości nas otaczającej. Oparcie, które byłoby podstawą dla zmian nadchodzącej przyszłości. Doktryny wywodzące się z klasycznego pozytywizmu cierpią bowiem na swoiste piętno czy kompleks zrodzony z doświadczeń obu totalitaryzmów wieku XX. Brakuje im również rzeczywistego wsparcia w zasadach sprawiedliwości i słuszności mających wymiar choćby powszechnej akceptacji w świecie, który już przestał być wyłączną domeną kultury europejsko-amerykańskiej, świecie rozdartym sporem religijno-światopoglądowym, świecie będącym w istocie i wielokulturowym, i wieloreligijnym. Mam świadomość faktu, że jest to w najlepszym wypadku diagnoza lub postulat, które mogą nie mieć ani przyszłości, ani faktycznego spełnienia.

W sumie sędzę, że oblicze doktryn polityczno-prawnych i ich historii jest bardzo tradycjonalistyczne i zachowawcze, jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z przełomem naukowo-poznawczym. Nie zmienia to faktu, że stoimy w moim głębokim przekonaniu przed nadchodzącym przełomem umysłowym, który ogarnie także świat idei politycznych i prawnych. Być może świadomie wkraczam tu w sferę nieco profetycznego myślenia, realne wydaje się jednak powstanie doktryn prawnych szukających innych podstaw dla tworzenia prawa. Być może będą to doktryny usiłujące nie powstrzymywać zachodzących przemian lub je tylko uzasadniać, ale generowane będą one przez prawa natury, odkrycia lub wynalazki, które wcale nie muszą być zawsze sprzeczne z wiarą, religią, moralnością czy świecką etyką. Wszak sama nauka dostarcza na naszych oczach świadectw na to, że odkrycia i wynalazki, chociażby z zakresu inżynierii genetycznej, ulegają samorozwiązaniu w miarę zachodzącego postępu, jak na przykład prawdopodobnie kwestia etyczna tzw. komórek macierzystych. Ustalenie rozdziału magisterium wiary i magisterium nauki (podejmowane w ostatnich latach, tzw. NOMA) stanowi być może zdrowy kompromis dla tych, którzy wątpią, i tych, którzy wierzą, a zajmują się jednocześnie tymi samymi problemami nauki. Osobiście nie wierzę w utopię „religii wiedzy” czy zbawczą rolę nauk przyrodniczych i ścisłych w tworzeniu dobrego i sprawiedliwego państwa, prawa i rządzonego nimi społeczeństwa. Prawdopodobnie stałoby się jak w wierszu W.H. Audena: „Bo nie pytają o Historii cele, / a przeto czynią, jakby nie wiedzieli; / Pragną swobody, z Kodeksem niezgodni; / Kodeks odrzuca i kroczą swobodni” (tłum. J.M. Rymkiewicz). Taka właśnie wizja „kroczenia swobodnego” ku zmianom byłaby w gruncie rzeczy tyleż fascynująca, co i przerażająca. Jeśli spojrzeć na ten problem od strony historii filozofii, to natrafia się na stary, bo wywodzący się od Hume’a, problem braku racjonalnego dowodu na to, że prawa natury są niezawodne, a słońce, które wstawało co dzień, wstanie również i jutro. B. Russell ujął to ironicznie, pisząc o codziennym karmieniu kurczaka, który mógł w to wierzyć jako w prawo natury, aż po dzień, kiedy utracił głowę. Bardziej aktualnie i groźnie zabrzmiał głos członka IRA, który stwierdził, że ochrona polityków musi funkcjonować codziennie, ale terrorysta musi być skuteczny tylko raz. Pomimo tych wszystkich wątpliwości i zastrzeżeń, sędzę jednak, że osiągnięta wiedza i rozwój naukowy nie pozostaną bez bardzo głębokiego wpływu na kształt idei polityczno-prawnych, podobnie jak to miało miejsce w wiekach XVII i XVIII, choć zapewne i może w zupełnie odmiennym kształcie i postaci.

Jeśli zdaniem czytelników wkradł się do tegoż eseju pewien chaos i niepokój wywołany jego tematem, to może warto powrócić do przeszłości i słów Montaigne'a:

„Nic nie zrobiłem dzisiaj. Jak to? Zali nie żyłeś. Toć to jest nie tylko główne, ale najchlubniejsze z twoich zatrudnień. Umiałeś li obmyślić i poprowadzić swoje życie? Dokonałeś największego dzieła ze wszystkich. Kto umiał nakreślić bieg własnego życia, dokazał o wiele więcej niż ten, który kreśli książki; kto umiał zdobyć sobie ład i spokój, lepiej żył niż ten, który zdobył królestwa i miasta” (tłum. T. Boy-Żeleński).

## Nota bibliograficzna

Wśród licznych opracowań poświęconych problemowi czasu w dziejach ludzkości wyróżniam szczególnie dwie syntezy, które dostarczyły mi wiele inspiracji związanych z podjętym tematem i z których zaczerpnąłem kilka cytatów, również innych autorów; są to: Aveni A., *Imperia czasu*, tłum. P. Machnikowski, Poznań 2001 oraz Whitrow G.J., *Czas w dziejach*, tłum. B. Orłowski, Warszawa, b.d.w.

Ponadto główną podstawę literatury z tego zakresu stanowiły: Berlin I., *Korzenie romantyzmu*, tłum. A. Bartkowicz, Poznań 2004; tenże, *Vico and Herder*, London 1976; *Człowiek w nauce współczesnej. Rozmowy w Castelgandolfo 1983*, przygotował i przedmową opatrzył K. Michalski, tłum. zbiorowe, Paris 1988; *Czy przed Wielkim Wybuchem był Bóg?*, tłum. B. Baran, Warszawa 2007; Edmonds D., Edinow J., *Pogrzebacz Wittgensteina*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2002; Feynman R.P., *Przyjemność poznawania*, tłum. K. Karpińska, Warszawa 1999; Foucault M., *Archeologia wiedzy*, tłum. A. Siemek, Warszawa 1977; Grabski A.F., *Dzieje historiografii*, Poznań 2006; Hawking S., *Czarne dziury i wszechświaty niemowlęce*, tłum. A. Minczewska-Przeczek, Warszawa 1995; tenże, *Krótką historią czasu*, tłum. P. Amsterdamski, Warszawa 1993; Heisenberg W., *Fizyka a filozofia*, tłum. S. Amsterdamski, Warszawa 1965; tenże, *Ponad granicami*, tłum. K. Wolicki, Warszawa 1979; Heller M., *Ewolucja kosmosu i kosmologii*, Warszawa 1983; tenże, *Filozofia i wszechświat*, Kraków 2006; Grant E., *Średniowieczne podstawy nauki nowożytnej*, tłum. T. Szafranski, Warszawa 1996; Kastory B., *Wielki wybuch sceptycyzmu*, „Newsweek”, 27 grudnia 2007 r.; Le Goff J., *Czas Kościoła i czas kupca (w:) Czas w kulturze*, tłum. A. Frybes, Warszawa 1988; tenże, *Od czasu średniowiecznego do czasu nowożytnego*, tamże; tenże, *Historia i pamięć*, tłum. A. Gronowska, J. Syryjczyk, Warszawa 2007; Postman N., *W stronę XVIII stulecia*, tłum. R. Frąc, Warszawa 2001; *Prawo natury w doktrynach polityczno-prawnych Europy*, pod red. M. Zmierczak, Poznań 2006; *Prognozy*, pod red. S. Griffithsa, tłum. T. Piwowarczyk, Poznań 2006; Shapiro S., *Rewolucja naukowa*, tłum. S. Amsterdamski, Warszawa 2000; Sokal A., Bricmont J., *Modne bzdury*, tłum. P. Amsterdamski, Warszawa b.d.w.; Wróblewski A.K., *Nie zakochuj się we własnym samolocie*, „Newsweek”, 9 kwietnia 2007 r.